



Podróż 47

O Gwatemali można wiedzieć dużo albo prawie nic. Dla wielu z nas Gwatemala to kawa, choć nie tak znana jak kolumbijska. Może Majowie? Niestety ich, częściej kojarzymy z Meksykiem. Co jeszcze? Może ostrzeżenie przed podróżą w regiony zdominowane przez gangi i bezwzględnych przemysłowców. Czasami zainteresują nas medialne doniesienia, informujące o kataklizmach regularnie pustoszących ten kraj, o których szybko zapominamy. Przecież to tak daleko. A szkoda. Bo Gwatemala ma do zaoferowania wiele atrakcji, o których szybko się przekonamy odwiedzając ten fascynujący kraj.

Gwatemala jest niemal trzy razy mniejsza niż Polska, ale bardzo zróżnicowana po względem ukształtowania terenu. Z jednej strony można prażyć się na piaskach nad Pacyfikiem, z drugiej pluskać w ciepłym Morzu Karaibskim. Na północy można przemierzać tropikalną dżunglę, a w środkowej części zdobywać szczyty gór i wulkanów. Zróżnicowanie dotyczy też temperatur. Na wybrzeżach jest zazwyczaj ciepło, w tropikach duszno i gorąco, jednak w wyższych położonych miejscach przyda się nawet czapka.

W Gwatemali jak w każdym kraju są miejsca, które niczym



Jezioro Atitlan. W tle kształtny stożek wulkanu San Pedro



Przystań w Panajache



Cmentarz

magnes przyciągają każdego turystę – takie perełki. Miejsca, które trzeba zobaczyć, ale też takie, których szkoda byłoby pominąć. Po kilku dniach podróży po Gwatemali, jesteśmy w miejscu, które spełnia oba te warunki – nad jeziorem Atitlan.

Na początku lat 30-tych jezioro odkrył dla świata Aldous Huxley. Może mało w Polsce znany, ale absolutnie rozpoznawalny w kulturalnym świecie pisarz. W książce podróżniczej „Świat poza granicami Meksyku” opisał znaczną część Gwatemali, w tym okolice

jeziora Atitlan, nazywając go najpiękniejszym jeziorem świata. A że takim twórcą się ufa, opinia szybko rozeszła się po świecie. Czy rzeczywiście wiele lat później, jezioro jest nadal na piedestale? Jak się przekonujemy oglądając widoki, które nas otaczają, natura miała świetny pomysł. W kalderze powulkanicznej, położonej na wysokości 1500 m n.p.m. zgromadziła ogromne ilości wody, odgradzając je od świata kilkoma aktywnymi wulkanami, które stworzyły wał, otaczający sporych rozmiarów jezioro. Możemy się tutaj poczuć jak w gigantycznym amfiteatrze z połyskującą sceną w kolorze szafirowym. Niestety, pod-

czas naszego pobytu wulkany Atitlan, Tolimar i pokryty zieloną gęstwiną wulkan San Pedro skryły swoje oblicze za zasłoną gęstych mgły.

Miasteczko Panajachel, w którym jesteśmy, w latach 60 i 70 za sprawą licznie przyjeżdżających tu Amerykanów, było uznawane za najbardziej hippisowskie miasto w Ameryce Łacińskiej. Dzisiaj, to punkt wypadowy dla turystów wyruszających do wiosek leżących na zboczach gór otaczających jezioro. W oczekiwaniu na łódkę, zaglądamy w dość nietypowe miejsce – na pobliski cmentarz. To doskonały moment, by poznać tutejsze zwyczaje związane z pochówkiem. Wszędzie otaczają nas jaskrawokolorowe grobowce. Jak się okazuje, kolory mają swoje znaczenie, w zależności od płci, zasług i zawodu zmarłego. Obok, przykład, że mieszkańcy Gwatemali nie zapomnieli o swoich ko-



Uliczny targ w Panajache



Dziewczynka sprzedająca kolorowe narzuty



Dzieci z wioski San Antonio Palopo

zeniach: pozostałości ogniska, w którym po pochówku chrześcijańskim, rodzina wraz z szamanem odprawia rytuały indiańskie.

W końcu ruszamy łodzią motorową. Po chwili, podskakując na wielkich falach, które zalewają naszą łódkę, pędzimy na drugą stronę jeziora. Mokrzy i zziębnięci dopływamy do brzegów wioski San Antonio Palopo – jednej z nielicznych już tradycyjnych wiosek Majów. Jesteśmy zaskoczeni charakterem wioski. Spodziewaliśmy się, czegoś bardziej egzotycznego, nawet prymitywnego, a tu – betonowe domy, bez większych wygód, ale są. Nie umniejsza to jednak malowniczości wioski, która rozłożyła się na zboczu góry skąd rozpościera się rozległa panorama na jezioro i wulkany. Wioska do 1980 roku, dopóki nie dotarła tu droga, była dostępna jedynie od strony jeziora. Blisko godzinę wolnym krokiem snujemy się po stromych uliczkach, obserwując skromne życie mieszkańców. Na chwile zatrzymujemy się przy białej fasadzie miejscowego kościoła. To najokazalsza z budowli w wiosce, która pełni rolę zarówno chrześcijańskiego sanktuarium, jak i miejsca codziennych spotkań. Na przystanku kupujemy od dzieci drobne pamiatki i płyniemy dalej.

Po kilkunastu minutach wpływamy w wąską zatokę jeziora. Nasza łódź z prawej burty mija wulkan San Pedro – ten najbardziej dumny i królujący nad jeziorem. Ma wręcz idealne kształty, proporcje i sylwetkę. Z lewej strony widać miasteczko Santiago Atitlan, na tle kolejnych stożków wulkanicznych. Tym razem wulkan Tolimar i Atitlan zerkają złowieszczo na schwyte w kleszcze miasteczko. To one co jakiś czas pomruczą, by w końcu wypuścić z siebie gniewny pył i żar.

Dobijamy do drewnianych pomostów w zamulonym porcie. Santiago to senna osada, ale również jedno z ostatnich miast gdzie można spotkać prawdziwych Indian. Nie trzeba ich nawet długo szukać. Już po chwili, będą obok nas, próbując sprzedać plecione kapelusze, barwne materiały czy drewniane maski. Niestety chętnych do pokazania sanktuarium Maximona nie ma wielu. Co roku, siedzibą świętego jest inny dom w wiosce. Jego figurki czci się do dziś w górzystych terenach Gwatemali, szczególnie podczas Wielkiego Tygodnia. W końcu jakoś udaje się odnaleźć tegoroczne



Maximon z opiekunami

sanktuarium. Wchodzimy na zaniedbane podwórze. Grzecznie witamy kobiety skubiące kury z piór. Cicho przechodzimy obok, by dyskretnie wśliznąć się do pomieszczenia w którym przyjmuje święty. Stajemy przy ścianie i z niedowierzaniem patrzymy w zady mione pomieszczenie. Na środku pomieszczenia siedzi wystrojony manekin w okazałym kapeluszu i palącym się cygarem w „ustach” – to Maximon, uosobienie dobra i zła. To kontrowersyjny święty: z jednej strony nawiązuje do religii katolickiej i św. Szymona, który w XVI wieku pomagał Indianom. Z drugiej, stanowi nawiązanie do majańskiego bóstwa, które w dawnych wierzeniach miało moc rzucania klątw. I również uwielbiało tytoń. Do świętego nie idzie się na klęczkach, ani z pokorną miną i błagalnym wzrokiem. Trzeba wejść pewnie, z butelką dobrej tequilli i paczką papierosów. Marlboro może nie przypaść mu do

gustu, więc warto zaopatrzyć się w cygara. Święty nie wzgardzi też pieniędzmi, wtedy chętniej pomoże swoim wyznawcom zemścić się np. na ich wrogach, rzuci jakąś klątwę, sprawi, że skradzione pieniądze się rozmnożą. O co jeszcze warto poprosić świętego? O dobre zbiory, zdrowie, poprawę pożycia małżeńskiego i co najciekawsze, wybaczenie grzechów ciężkich, jak choćby morderstwa. To dlatego św. Maximon zyskał miano świętego wszystkich rzezimieszków, miłośników alkoholi i narkotyków. Czyli opryszków. W trakcie modłów Maximon siedzi sztywno, obok wystrojonego manekina i nie odezwie się słowem. Za to miejscowi kapłani będą wyczyniać cuda wokół Maximona: śpiewy, modły na kolanach, odpalenie kadzideł. Wszyscy tutaj wierzą w jego magiczną moc. Dlatego najlepiej nie szczędzić tequilli i cygar. Ciekawostką jest, że wszystkie dary muszą być przez święte-

go „zużyte” – czyli wypite, zjedzone czy wypalone na miejscu. A że gospodarz nie jest w stanie dokonać tego sam, ma święte szamanów przypominających raczej imprezowych kumpi. Tak więc, impreza (stąd może nazwa) jest na maxa. Właśnie teraz jeden z szamanów, po skonsumowaniu kolejnego daru, osunął się na podłogę. Na właściciela posesji też ciąży obowiązek. Maximonowi trzeba przecież urządzić lokum. A że przepada za barokowym wystrojem, cieszą go kolorowe lampki, świecidełka i błyszczące szmatki. Trzeba go codziennie umyć, ubrać, zapalić cygaro, a wieczorem przebrać i zanieść do sypialni. Lubi też towarzystwo świętych, bo choć w kościele katolickim znajduje się na czarnej liście, w Santiago Atitlan jest najbardziej świętym spośród świętych. Zatem wzdłuż ścian stoją figury świętych o białych licach i różowych policzkach z prawdziwymi włosami w prawdziwych szatach, za które wierni wtykają pieniądze.

Za rok w królewskiej procesji podczas Wielkiego Tygodnia, Maximon dostanie nowe lokum, w którym ponownie zapali ulubione cygaro i wypije niejedną łyk tequilli.

zdjęcia, tekst
Ireneusz Wołek



Kościół w Santaigo Atitlan